

A. Psik

Złote jaja

Kubie

To już piętnaście lat minęło, jak zboczyłem z kursu, mimo że byłem w pół drogi. Trzeba nie lada wysiłku, żeby się przestawić i poruszać w nieznaną przestrzeń, między życiem a śmiercią. Komuna ściągnęła na siebie własny koniec, w mojej głowie zaległ się plan, bez precedensu w historii PRL i całego Bloku Wschodniego. Za jednym zamachem pochować ciasne horyzonty i otworzyć prywatny cmentarz. Właściwie, czemu nie? Na starość jak znalazł, jeśli szczęście odwróci się ode mnie, a gorycz przyniesie zgubę. Lepszego zabezpieczenia ze świecą szukać. Ale eskalacja wysiłku na nic się nie zda, jeśli na przeszkodzie stanie marność nad marnościami – zbiór stereotypów.

Zainwestowałem swój wolny czas i – z właściwym sobie podejściem do folkloru cieszącego się wątpliwą sławą – krążyłem po okolicy jak zbłąkana dusza, penetrując warszawskie peryferia kipiące życiem, w poszukiwaniu stosownej lokalizacji.

Na obrzeżach parku krajobrazowego znalazłem cmentarzyk wyznaniowy u kresu swoich dni, który szczególnie wpadł mi w oczy przez to, że ledwie trzymał się życia. Żałosny jak siódme nieszczęście, radosny jak siódme niebo. Nikt nic nie robił, by rozkwitał ku chwale ojczyzny. Nikt nie martwił się o martwych ani o żywych, nikt nie wykazywał dbałości ani troski o niego, a ci, na których mógł się oprzeć, bo mieli z nim stałą więź, promieniowali inercją i dali sobie spokój. Leżeli pokotem do góry brzuchem i zaznawali dobrodziejstwa prywatności. Z każdym pochówkiem jego skąpe możliwości terytorialne kurczyły się, a wszechświat rozszerzał się nadal w tempie narastającym, potęgując istniejące dysproporcje. Nic dziwnego, że popadał w kompleks niższości, skoro władze kościelne, również wyższego szczebla, na śmierć zapomniały o jego potrzebach i skazały go na agonię.

W tej parafii duszpasterze czarno widzieli przyszłość, widmo bezrobocia zaglądało im w oczy, mimo że łapiduchy miały pełne ręce roboty. Żyli złudzeniami i tym, co kapnie z nieba. Przemysł kadzidlano-kropidlany to na pewno manna z nieba, jeśli nie dać sobie w kaszę dmuchać, jednak prawdziwy samograj do zbijania kokosów bez ryzyka inwestycyjnego i handlowego to nekropolia z prawdziwego zdarzenia. W tym interesie ruch murowany. Rentowność zapewniona w dwójnasób, nagłym zrządzeniem losu i naturalną kolejną rzeczą, po upływie określonej kadencji. Nic, tylko nastawiać kiesę, tacę, skarbonkę czy co popadnie. Kościół, sprzeciwiając się aborcji i regulacji narodzin, wiedział, co robi.

Ostatnia posługa to ostatnia rzecz na świecie, jakiej się pragnie. Dla nich była ostatnią deską ratunku, a park sztywnych elastycznym źródłem dochodów. Najbliższa *uprawa kokosów* mieściła się kilka kilometrów dalej, ale nie mieściła chętnych. Wkrótce powinna przekroczyć limit. Utkwienie na mieliźnie wiekuistego odpoczywania w tej okolicy było luksusem nie z tej ziemi, jakby zmarli spodziewali się Bóg wie czego. Alternatywą była Wólka, która nie była żadną alternatywą. Ani dla tych, którzy odpadli z gry, ani dla żywych ciał ludzkich. Bita godzina samochodem poza szczytem komunikacyjnym. W szczycie trzy. W tej sytuacji wykazałem się wyczuciem chwili godnym stuprocentowego biznesmena. Za grosze kupiłem dwa hektary z widokiem na przyszłość, przyległe do siódmego nieszczęścia, i patrzyłem na siódme niebo z miną od siedmiu boleści.

Piętnaście lat czekałem na tę chwilę. Piętnaście lat!

W końcu marna egzystencja świętej pamięci komuny, na której straży stały cmentarze, a która mimo to ledwo ciągnęła swój cień, dobiegła kresu. Panie, świeć nad jej duszą. Jej wszędobylscy, bardzo żywotni pogrobowcy połączyli się w łańcuchu zbiegów okoliczności. Ciesząc się uznaną reputacją dobrych chrześcijan – doświadczali dobrodziejstwa napływającej całkowitości, wypełniając siebie od stóp do głów. Z ich ust, ferujących bezsprzeczne sądy i

oferujących nowy lepszy ład, nadal schodziły obiecanki cacanki, ale w grobowych spojrzeniach czaiła się zapowiedź braku jakiejkolwiek perspektywy. Bezmyślne ludziska kupowały kit w pазłotku z anielskim spokojem i przyjmowały, co życie niesie, z dobrodziejstwem inwentarza.

Wprawdzie przy korycie pojawiła się zdrowa konkurencja, wolna od obciążeń niechlubną przeszłością, ale jeszcze szybciej zapadła na tę samą śmiertelną chorobę każdej grupy trzymającej (dzierżącej?) władzę. Uwolniona od hipokryzji kurczowego trzymania się litery prawa, wylansowała łatwo przyswajalny przebój, że co niezabronione, to dozwolone.

Epidemia brudnych rąk ogarnęła III Rzeczpospolitą wzdłuż i wszerz. Korupcja od Bałtyku do Tatr siała zgorzenie na niespotykaną skalę, rzeczy wróciły do poprzedniego stanu. Wyciąganie kopyt ruszyło z kopyta na stopę przemysłową, nikt w branży pogrzebowej nie przewidział nadchodzącego *boomu*. To śmiertelnie nieodwracalny fakt.

Pacjenci służby zdrowia doświadczali skutków reformy na żywym ciele. Jak nie dawali garściami w łapę, to szli na rękę. Albo odwalali kitę z wrazenia, albo z dobrego serca, cicho, skromnie, dyskretnie, jak azjatyckie kawki na ptasią grypę. Z pełnym poświęceniem, w poczuciu obywatelskiej powinności. Umieranie bez umiaru stało się hitem sezonu, życie było warte funta kłaków. Przedsiębiorstwa pogrzebowe nie nadążały z pochówkami. Podaż umarłaków po raz pierwszy w powojennej historii Polski przekroczyła popyt, odwrotnie niż za komuny, co było największą zdobyczą realnej demokracji.

Kiedy działa prawo serii, musi zadziałać też prawo wolnego rynku, i tak się stało. Przedsiębiorstwa pogrzebowe pleniły się, rosły jak chwasty na oborniku. Tu jest pies pogrzebany, tu właśnie, albowiem dość szybko, przy takiej obfitości usług komunalnych, nastąpiło nieuniknione przesylenie i koniunktura się odwróciła. Żeby ratować sytuację, poszukiwacze złotych w gorączce złota powołali do życia nową profesję, łowców skór, których zadaniem było zdobywanie nieboszczyków, kto pierwszy, ten lepszy, choćby po trupach.

Nowo powołani fachmani wykazali napoleoński wprost hart ducha. Bez zwłoki udali się na podbój medycznego półświatka, mimo że byli skonani. Działali systemowo, systematycznie, w morderczym skupieniu. Pokój ludziom dobrej woli! Ich starania spotkały się z wielkim uznaniem bezdusznych łapiduchów na dorobku, których trudne do uchwycenia spojrzenia ziały pożądliwością – interes rozkręcił obie strony – choć zapewne nie szukali poklasku. Środek zwiotczający mięśnie o lirycznej nazwie *pavulon* robił oszałamiającą karierę. Świetnie spisywał się w roli pikantnego afrodyzjaku. Impotentów w gasnącej poświacie wprawiał w stan całkowitej sztywności, a co najważniejsze – nie spędzał im snu z powiek. Natomiast panie doprowadzał do zupełnej uległości.

Taki był początek pracowitego, ale i nader zyskowego procederu, w którym połączono siły, by sprostać zadaniu, w tym przełomowym i najbardziej znaczącym momencie. Nic dziwnego, że łowcy uskrzydleni spontanicznością rozentuzjasmowanych łapiduchów zaniechali tworzenia związków zawodowych, co w owym czasie było precedensem na niespotykaną skalę. Wydawało im się, iż wygrali los, że właśnie odkryli bramy rajy i awansem je przekroczyli, bez konieczności umierania.

Za cynk o chorym, który nie dał łapówki, bo było mu nie na rękę, personel medyczny dostawał w łapę od łowców skór, a potencjalne skóry w skórę. Na tym świecie życie, które wciąż ujawnia nam swoje prawdy i sekrety, nie bacząc na położenie geograficzne ani kolor skóry, trwa tyle, co wyrzuty sumienia. A ponieważ pieniądz lubi świeżą krew, świat się nie zawali aż do dnia Sądu Ostatecznego. Niebawem statystyka zgonów dogoniła Czarny Łąd. Murzyn może, Polak potrafi.

Kiedy świat zacieśnia się do rozmiaru pułapki, śmierć zdaje się być jedynym ratunkiem, ostatnią kartą, na którą stawia się własne życie – Paulo Coelho.

Na taki ratunek nigdy za późno. Do akcji wkroczyło z pełnym ekwipunkiem, gotowe do podejmowania natychmiastowych działań (w tym

także nowych wyzwania na miarę *hic et nunc*) pogotowie ratunkowe, które lepiej zna się z dziurami w budżecie niż z pełną kasą. Nie bez powodu znalazło się w orbicie zainteresowań domów pogrzebowych z wolnymi mocami przerobowymi. Właściciele tych zakładów wiedzieli co to znaczy mieć cienki portfel i umieli temu zaradzić.

Ambulanse na sygnale to wysoce użyteczne ruchomości do transportu nieruchomości i najszybsze zaopatrzenie kostnic, jak pragnę zdrowia, zwłaszcza gdy załoga zalana w trupa. Spożycie *pavulon* zwiększało się proporcjonalnie do wzrostu zużycia paliwa. W konsekwencji ośrodki zdrowia, po reformie na własnym rozrachunku, świeciły niespotykanym wcześniej pustostanem. Drastycznie spadły wpływy, jeszcze bardziej pogłębiając i tak już dotkliwy kryzys. Zaczęła się czarna seria grupowych zwolnień.

Wtedy do akcji wkroczyły martwe dusze, mając nader zbawienny wpływ na ekonomikę służby zdrowia, i od nowa Polska Ludowa. Szpitale zaludniły się na papierze, ale łóżka niekoniecznie. Personel medyczny, nie mając przecież nic lepszego do roboty, wrócił do łask, a wraz z nim stary ludowy przebój w nowym kontekście: *Umarł Maciej, umarł, leży już na desce, a jak mu zagrali, to podskoczył jeszcze.*

I dopiero wtedy do akcji wkroczyłem ja, dumny jak paw i pewny swego, z gotowym planem nowoczesnego cmentarza, który zamierzałem niezwłocznie wcielić w życie. Grunt to mieć oko i wstrzelić się w zapotrzebowanie. Dłużej czekać już nie było sensu, więc wyszedłem z cienia naprzeciw rosnącemu popytowi. Dobrodziej, który sprawował duszpasterstwo w tej parafii, na mój widok zatarł ręce nawykłe do modlitwy za dusze zmarłych, jakby się zastanawiał, czy nie zaofiarować mi swych gorliwych usług, i poklepał się po brzuchu – od biedy przywykłym do postu – po prostu. Biorąc rzecz z pozycji dyplomatycznego, acz pełnego nadziei, wyczekiwania na pierwszy ruch z mojej strony, można by pomyśleć, że w koncepcyjnej, niekrzykliwej ciszy, gdyby nie

sposób, w jaki szeleściła, na pozór bezszelestnie, grubym szmałem wiszącym w powietrzu.

Wielebny od dawien dawna zabiegał o przyległe grunty, toteż pojawienie się ich prawowitego właściciela, o którym słuch zaginął w zamierzchłej przeszłości, postrzegał w kategoriach rzeczywistego cudu. Niestety, zgodnie z tradycjami stanu duchownego i kanonicznym zwyczajem, otwartość plebana, pełnego ukrytego niepokoju, ale i nieukrywanej radości, przypominała bardziej pustą kasę niż gotowość do jednozgodnej kooperacji. Okazało się, że jego oczekiwania względem mnie są zgoła inne od moich wobec niego. Jemu marzyła się cesja gruntu za Bóg zapłać, no i za ewentualny bonus w postaci gratisowego pochówku moich prochów w przyszłości. Ja zaś chciałem wnieść teren aportem do wspólnego przedsięwzięcia gospodarczego, o dowolnej strukturze organizacyjnej. Mogłaby to być spółka cywilna lub prawa handlowego. Akcyjna, jawna, komandytowa – wszystko jedno, byle tylko do przodu i byle nie nogami. Profity do podziału zgodnie z uświęconą przez komunę zasadą: „każdemu wedle zasług”, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Dlatego nie przyszedłem do niego z pustymi rękami. Znajomy architekt nie zaważył sprawy, lecz stanął na wysokości zadania. Kierując się wyczuciem ekonomiki biznesu, wykonał pierwszorzędny projekt modernistycznej nekropolii na miarę dwudziestego pierwszego wieku i zagospodarował przestrzeń trójwymiarowo, w zamian za prestiżowe pierwsze miejsce w honorowym pierwszym rzędzie po swojej śmierci, choć całkiem mocno trzymał się życia. Żeby zoptymalizować i zdyskontować cały areal, lekką ręką wyczarował 2250 wielokondygnacyjnych tradycyjnych mogił podziemnych (1,2x4m), 390 na urny (1x1m), 1350 murowanych nisz na 4 urny (50x60x80cm) w czteropoziomowym kolumbarium otaczającym cmentarz. Ponadto 120 stanowisk parkingowych (2,5x5m), 28 punktów na stragany (3x6m), 2 miejsca na śmietniki i 1 miejsce na ujęcie wody. W oparciu o te dane opracowałem

wzorcowy biznesplan i z wrażenia o mało co nie padłem trupem. Toż to była istna kura znosząca złote jajka.

Miejsce na grób kosztowało u księdza 4,600 złotych, a na urnę w poświęconej ziemi 2,500 – za okres dwudziestoletni. Dla porównania nisza w kolumbarium na cmentarzu komunalnym – 800 złotych. Na całe szczęście nieboszczykom nie grozi z wrażenia przewrotka w grobie, bo dysponują wystarczającym zapasem zimnej krwi.

Żeby jeszcze bardziej spotęgować rentowność, zasugerowałem inhumacje w pozycji pionowej. Idealnej dla istot dwunożnych i wprost wymarzonej dla osób stosujących zasadę: czy się stoi, czy się leży...

Wtedy wielebny w chwalebnej szczodrości pobłogosławił plan nabożnym gestem doświadczonego mistrza ceremonii. W tym bogobojnym skinieniu krył się zjadliwy kąsek: figa z makiem. (Błogosławieni ci, co błogosławią). Tak bardzo mój plan przypadł mu do gustu, że nie zamierzał z nikim dzielić się pożytkami zarezerwowanymi wyłącznie dla stanu duchownego, i postanowił robić sobie jaja na własną rękę. Tak to już jest na tym bożym świecie, jedni umierają, drudzy z tego żyją, ważne, że się kręci.

Zaczął stwierdzenia, że mój pomysł zawiera w sobie liberalne spojrzenia, następnie wyniósł mnie pod niebiosa, lecz jego materializację uzależnił od akceptacji skostniałej do szpiku rady parafialnej. No i, jak było do przewidzenia, masz babo placek. Niebogi staruszki – przyszłe nieboszczki powabne jak śmierć i, baba w babę, uderzająco do siebie podobne – trafiły mnie prosto w serce. Na mojej ofercie, starannie dopieszczonej, dopracowanej, zapiętej na ostatni guzik, zawiązały pętelkę i zrobiły krzyżyk. A na pociechę dały mi krzyż na drogę, na resztę moich dni. Nie wiedziałem, czy zapaść się pod ziemię, czy schować głowę w piasek, żeby pozostać w temacie i wszystkiego nie wrzucić w błoto. Tam, gdzie baba strzela, a Pan Bóg kule nosi, nie może być inaczej. Znamienny wpływ na przebieg dziejów powszechnych niekoniecznie mają pionierzy cywilizacji i apostołowie nowatorskich idei, którzy dobrze wiedzą, czego chcą i

– przechodząc z jednego życia w drugie – wkraczają w wielką, rozciągliwą przestrzeń.

Doznałem zawodu, upokorzenia i rozstroju nerwowego, w końcu przypląciłem to zdrowiem. Ale nie załamuję się i ufnie patrzę w przyszłość. Wiem przecież, że jeśli nawet wezwę karetkę pogotowia ratunkowego, to w każdej chwili spółka z księdzem stanie się koniecznością, czy tego chcę, czy nie. Bo jeśli w końcu trafię na ten cmentarz w trumnie lub urnie, kornie trzymając język za zębami, to i tak brak wolnych miejsc wymusi na moich niedoszłych kontrahentach układy ze mną. Przecież, na miłość boską, nie poślą mnie do diabła.

Jednak nie będę ry(d)zykować. Na razie, machnąłem ręką w geście pojednania, wszystko bowiem zasadza się na gołębiej duszy i głębokiej pokorze. Spółkę założę z samym sobą, bo te baby wpędzą mnie do grobu! Uruchomię działalność gospodarczą solo. Będę wolny jak ptak i będę miał własny cmentarz, który w mej wyobraźni budzi się już do życia. Samorządny i niezależny. Regon, NIP, święty spokój. I wylęgarnię złotych jaj.

Aj waj!

PS. Poniżej projekt cmentarza.

Ilość miejsc ograniczona, chętnych proszę o rezerwację drogą elektroniczną na adres:

Rezerwacja zostanie aktywowana po wysłaniu SMS-a o treści:

AKTYWUJ MNIE pod numer:

(cena SMS-a: 100 zł plus VAT)